Roger Dee

Problem na Balak

(Problem on Balak)

`

Galaxy Science Fiction, September 1953
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Czasami można rozwiązać problem, po prostu atakując go z rozpędu!



Konkluzja, do której zmierzam, polega na tym, że jeżeli mówimy o pracy dla Solar Exploitation, absolutnie nie trzeba się przejmować perspektywą śmiertelnych nudów. Ta robota nigdy nie przestaje być interesująca –– a w dodatku pozwala na odwiedzenie paru całkiem dziwacznych miejsc.

Weźmy na przykład odkrycie statku *S.E.2100* na Balak. Jest to niewielka planeta, krążąca wokół Wężownika 70, jakieś 20 000 lat świetlnych od Ziemi. Nikt by się nie spodziewał, że można tam się natknąć, na rasę największych chirurgów w Galaktyce –– chirurgów ogólnych, neurochirurgów, czy jeszcze jacy tam mogą być. Ponadto, na tak małej planetce, wszystkiego można by się chyba spodziewać, niż tego, że niewielki czteroosobowy zespół ludzi, zostanie obdarzony problemem z kategorii życia-lub-śmierci, podobnym do tego jaki spadł na nasze barki.

A jeżeli, w jakimś cudownym proroczym akcie, ktoś przewidziałby oba te wydarzenia, to mogę się założyć, że nigdy by nie wpadł, że problem ten można rozwiązać w sposób, w jaki my to zrobiliśmy.

Kapitan Corelli, Gibbons i ja, nie oddaliliśmy się więcej niż sto jardów od *S.E.2100*, kiedy spotkaliśmy pierwszego balakiańskiego tubylca. Albo, żeby być bardziej precyzyjnym, kiedy on spotkał nas.

Corelli i ja, właśnie zajmowaliśmy się wypełnianiem małych, sterylnych buteleczek, próbkami gleby i roślinności, wypatrując czujnie wszelkich

ewentualnych drapieżników, kiedy to się wydarzyło. Gibbons, nasz ekolog i główne koło napędowe działań naukowych w naszej załodze, obserwował rój małych, dwunastonogich owadów, od góry pracowicie zapylających kwiaty karłowatego krzewu, zaś od dołu pobierających w zamian opłatę, w postaci sączącego się z nich białego soku. Jego oczy błyszczały, spoza okularów, ciekawością, zaś on sam klął do siebie pod nosem, zadowolonym, monotonnym tonem.

– Połącz się ze statkiem i powiedz Znachorowi –– jeżeli uda ci się oderwać tego hipochondrycznego idiotę od jego płynów do płukania gardła i rozpylaczy z bakteriobójczym aerozolem –– żeby podrzucił nam pojemnik na okazy żywe – zawołał do kapitana Corellego. – Natknęliśmy się tutaj na coś naprawdę nowego, świadomą symbiozę między całkowicie odmiennymi formami istot żywych! Jeżeli reszta flory i fauny kooperuje w ten sam sposób…

W tej samej chwili, odkrycie Gibbonsa przestało mieć znaczenie, ponieważ właśnie wtedy, pojawił się pierwszy Balakianin.

Tubylec, na pierwszy rzut oka, wyglądał jak pomarszczona różowa ośmiornica, o wysokości trzech stóp oraz niemal takiej samej szerokości, i poruszał się rozhuśtanymi podskokami, w podobnym stylu, jak człowiek o kulach, ponieważ jego trzy krótkie nóżki, ustawione były w jednym poziomym rzędzie. Z każdego boku miał cztery ręce, dwie dolne służyły mu do chwytania i przytrzymywania się, zaś górne do manipulowania przedmiotami. Nie miał niczego, co można by było określić, w dokładnym tego słowa znaczeniu, jako głowę, ale w okolicy górnego zakończenia tułowia, znajdowało się coś w rodzaju twarzy, o niemal takim samym wyglądzie, jak oblicze uprzejmie uśmiechającego się człowieka wschodu.

Nie był uzbrojony, ale wolałem nie podejmować ryzyka –– rzuciłem moją buteleczkę na okazy na ziemię, i wyrwałem zza pasa pistolet termiczny, element wyposażenia każdego pracownika operacyjnego S.E. Kapitan Corelli, który właśnie miał się połączyć z siedzącym na statku Znachorem, puścił przycisk mikrofonu skafandra i złapał za swoją własną broń. Gibbons, jak to prawdziwy naukowiec, stał zupełnie nieruchomo, jak wmurowany, z rozdziawionymi ustami, za bardzo zainteresowany całym tym wydarzeniem, żeby w ogóle pomyśleć o strachu.

Wtedy Balakianin przemówił, i wtedy Corelli oraz ja, rozdziawiliśmy usta jeszcze szerzej niż Gibbons. Tak jak mówiłem wcześniej, Balak położony jest jakieś 20 000 lat świetlnych od Ziemi, i zgodnie z naszą wiedzą, byliśmy pierwszymi istotami ludzkimi, które kiedykolwiek znalazły się bliżej niż sto parseków od tego miejsca.

– Panowie, proszę was, nie strzelajcie – odezwał się do nas po Terrańsku. – Nazywam się Gaffa i zapewniam panów, że jestem absolutnie przyjazny.

Musiałem przyznać Gibbonsowi punkt, za to że tak szybko myślał; ogarnął całą sytuację, zanim jeszcze Corelli i ja zdołaliśmy zamknąć

rozdziawione usta, i już zaczął mówić do tubylca, tak jakby takie rzeczy działy się za każdym razem, kiedy lądowaliśmy na nowej planecie.

– Płynnie mówi pan po Terrańsku – stwierdził Gibbons. – Czy też może to jakiś rodzaj kontaktu telepatycznego, stwarzający złudzenie komunikacji głosowej?

Tubylec uśmiechnął się z zachwytem.

– Kontakt ma charakter głosowy. Nauczyliśmy się waszego języka od niezależnego poszukiwacza planet, o nazwisku Haslop, który parę lat temu, rozbił się tutaj.

W Solar Exploitation, człowiek uczy się oczekiwać nieoczekiwanego, ale dla mnie osobiście, pomysł ten rozciągał pojęcie zbiegu okoliczności, solidnie poza wiarygodne ramy. Mieliśmy najnowszy, ostatnio zbudowany napęd oparty na zero-interwałowym transferze, i jakoś nie byłem w stanie uwierzyć, że jakikolwiek niezależny planetarny poszukiwacz przygód, mógłby nas wyprzedzić przy pomocy swojego staromodnego sprzętu.

– Terranin? – spytałem. – A gdzie on teraz jest?

– Zaraz tu będzie –odparł Gaffa. – Z moimi kolegami.

Kilkudziesięciu kolejnych Balakian, wyglądających dokładnie tak samo jak nasz, zwaliło się na nas przez karłowate zarośla. Razem z nimi pojawili się dwaj wychudzeni Terranie, ubrani w komplety luźnych koszulek i majtek, ewidentnie wykonanych na Balak. Nawet z większej odległości, Terranie wyglądali niepokojąco podobnie do siebie, a kiedy znaleźli się bliżej, widać było, że są identyczni, jak bliźniaki.

– Masz kłopoty z liczeniem, kolego – powiedziałem. – Ja widzę *dwóch* Terran.

– Jest tylko jeden – poprawił mnie Gaffa, uśmiechając się szerzej. – Ten drugi jest jednym z nas.

Oczywiście, nie uwierzyłem mu. Corelli zresztą też tego nie kupił. Jego oczy miały szklisty wygląd, a on sam kręcił głową, jakby coś wpadło mu do ucha.

Jeden z Terran podbiegł do nas ze łzami w oczach i cały roztrzęsiony. Był tak strasznie rozemocjonowany, że zacząłem się obawiać, iż zaraz nas wycałuje.

– Nazywam się Ira Haslop – oznajmił załamującym się głosem. – Spędziłem tutaj, trwające całą wieczność, dwadzieścia dwa lata wygnania, i myślałem już, że nigdy nie zobaczę terrańskiej twarzy. A teraz…

Przerwał, ale nie dla nabrania oddechu. Drugi wychudzony Terranin pochwycił go za rękę i obrócił go do tyłu.

– Co tu, u diabła, sobie wyobrażasz, ty zamaskowany koszmarze? – wrzasnął ten drugi. – To ja jestem Ira Haslop, i cholernie dobrze o tym wiesz! Jeżeli myślisz, że uda ci się przemycić siebie w moje miejsce i zamiast mnie polecisz na Ziemię…

Pierwszy Haslop przez chwilę wpatrywał się w niego z zaskoczeniem. Potem strząsnął uderzeniem jego rękę ze swojego ramienia, i zaczął wygrażać mu przed nosem kościstą pięścią.

– A więc, na tym polega twoja gra! To dlatego te stale wyszczerzone w uśmiechu dziwadła, zrobiły cię takiego samego, jak ja, i zmusiły nas do wspólnego życia przez te wszystkie lata –– przez cały czas planowały

naszą podmianę i chciały wysłać domu ciebie, zamiast mnie! O nie, to się nie uda!

Drugi Haslop odwrócił się wtedy w jego stronę, i obaj zwarli się ze sobą, jak para wypuszczonych na wolność tygrysów, przeklinając i próbując wydłubać sobie oczy. Uśmiechnięci tubylcy rozdzielili ich po chwili i uważnie ich przebadali, szukając ewentualnych uszkodzeń, z wielką satysfakcją trajkocąc coś między sobą, we własnym języku.

Corelli, Gibbons i ja, gapiliśmy się na siebie bezmyślnie, jak trzech idiotów. Trudno było nawet pomyśleć, że jeden z tych dwóch ludzi mógłby nie być tym, za kogo się podawał, doskonale normalnym i rozwścieczonym Terraninem. Ale skoro obaj zarzekali się, że jeden z nich –– ten drugi, oczywiście –– był obcą istotą, a sami tubylcy potwierdzali to oskarżenie, to co innego mieliśmy sądzić?

Gaffa, który wydawał się być kimś w rodzaju przywódcy, wziął sprawy w swoje ręce i wyjaśnił całą sytuację –– wyglądającą na jakiś niewiarygodnych rozmiarów żart, wysmażony przez tych ośmionożnych dowcipnisiów, bez wiedzy oryginalnego Haslopa, w oczekiwaniu na dzień, kiedy na Balak być może wyląduje inny terrański statek. Prawdziwym celem, jak oznajmił Gaffa, było postawienie nas przed problemem, możliwym do rozwiązania jedynie przez osobniki posiadające naprawdę dogłębne zrozumienie istoty swojego gatunku. Jeżeli uda nam się go rozwiązać, jego rodacy będą gotowi nam pomagać, w każdy możliwy sposób. Jeżeli nie…

Nie spodobał mi się wydźwięk tego, co powiedział, więc ponownie sięgnąłem po swój pistolet termiczny. Podobnie zrobił kapitan Corelli i Gibbons, ale byliśmy zbyt wolni.

Jakieś małe, latające robale –– pewnie kolejne ogniwo w łańcuchu balakiańskiej kooperatywnej ekologii –– użądliły każdego z nas w tył szyi i odpłynęliśmy w niebyt. Kiedy obudziliśmy się ponownie, byliśmy „gośćmi” Gaffa i jego plemienia, w czymś podobnym do osady, o kilka mil od *S.E.2100*, i poza zestawem własnych paznokci, nie mieliśmy niczego co mogłoby nam posłużyć za broń.

Tubylcy nawet nie zadali sobie trudu, żeby nas związać, albo gdzieś zamknąć. Obudziliśmy się leżąc pośrodku kolistego placu, otoczonego przez omszałe kopce, wyglądające jak spłaszczone ule, które okazały się być chatami Balakian.

Później dowiedzieliśmy się, że budynki te budowane były przez roje niewielkich podziemnych zwierząt, podobnych do termitów, które wznosiły je z ziemi, ziarnko po ziarnku, zgodnie z wcześniejszymi specyfikacjami. Nie potrafię nawet zacząć wyjaśniać skomplikowanych zasad, stojących za harmonią istniejącą między wszystkimi istotami żywymi na Balak. Po prostu takowa istniała, i wydawała się działać na bazie czegoś w rodzaju hiper-czucia albo połączenia telepatycznego między gatunkami. Każde stworzenie na planecie wykonywało pewne usługi dla jakiegoś innego stworzenia –– nawet rośliny, które były jadalne i nie miały połączeń

nerwowych przewodzących ból, tak że zrywanie nie czyniło im krzywdy, oraz które raz w tygodniu wysyłały chmury suchych jak pył zarodników, wywołujących deszcz.

A trójnożni, ośmioramienni tubylcy stali dokładnie na szczycie tej zwariowanej utopii, byli panami tego wszystkiego.

Oczywiście, nie było możliwości, żeby ktokolwiek z nas zainteresował się całą sprawą, jako ekologicznym cudem. Od chwili, kiedy tylko się obudziliśmy, byliśmy za bardzo zajęci układaniem planów ucieczki z pułapki, w którą wpadliśmy.

– **N**aszą jedyną nadzieją jest Znachor – przyznał kapitan Corelli i aż jęknął na samą tę myśl. – Jeżeli ten hipochondryczny idiota będzie miał na tyle dużo rozumu, żeby siedzieć po cichu, być może mamy jakieś szanse. Jeżeli jego również dopadną, to jesteśmy zgubieni.

Znachor był cholernie cienkim włoskiem, aby zawiesić na nim nasz cały los.

Nazywał się Alvin Frick, ale nikt nie używał jego nazwiska. Miał dwadzieścia dziewięć lat i jak do tej pory nie dochrapał się w kosmosie niczego, powyżej stanowiska laboranta hydroponicznego, co oznacza tylko stopień wyżej od pracownika fizycznego. Był niski, pulchny i zawsze różowiutki od ciągłego mycia i szorowania. Ponadto był jedynym hipochondrykiem, jakiego znałem, w dzisiejszych nowoczesnych czasach, niemal pozbawionych chorób. Nieustannie marudził o zarazkach, rojących się w jego zbiornikach redukcyjnych, i przy każdym lądowaniu na kolejnej planecie, pomimo trwale immunizujących zastrzyków, okropnie się bał, że podłapie jakąś nieznaną obcą zarazę. Nieustannie raczył się miksturami wyciągniętymi ze starej książki medycznej, którą gdzieś znalazł, i przez większość wolnego czasu po służbie, rozpylał na siebie oraz po całej swojej kwaterze, środki dezynfekcyjne. Jego mania miała tylko jedną dobrą stronę –– gdyby był zwykłym, normalnie zachowującym się hydroponikiem, śmierdziałby jak obora, a nie jak apteka.

Nigdy nie próbowaliśmy się go pozbyć, ponieważ moglibyśmy trafić na jeszcze gorszego farmera zbiornikowego, ale teraz zaczęliśmy żałować, że tego nie zrobiliśmy. Ledwie zajęliśmy się obmyślaniem sposobów i środków ucieczki, kiedy na nasz plac zwaliła się banda uśmiechniętych od ucha do ucha tubylców, dostarczając nam zdrowo śpiącego Znachora.

Doszedł do siebie tuż przed zachodem słońca i kiedy tylko opowiedzieliśmy mu co się stało, natychmiast ponownie odpłynął –– tym razem ze strachu.

– Jesteś naprawdę wspaniałą pomocą, ty super-sterylny kretynie – stwierdziłem, kiedy obudził się po raz drugi. Prawdopodobnie dodałbym coś jeszcze dużo gorszego, ale wtedy właśnie zrobił się prawdziwy tumult.

Powrócił Gaffa, z dwoma spoglądającymi na siebie spode łba Haslopami, i opisał nam problem, który jego plemię przygotowywało dla nas przez ostatnie dwadzieścia dwa lata.

– Dowiedzieliśmy się już całkiem sporo od Haslopa – powiedział Gaffa. – Znamy więc trochę napięcia i złożone kwestie, towarzyszące ekspansji waszego Dominium Terrańskiego w Galaktyce i doszliśmy do wniosku, że z czasem musimy albo stać się częścią tego Dominium, albo kompletnie odizolować się od reszty wszechświata.

Po chwili mówił dalej:

– Jesteśmy pokojowo nastawionym gatunkiem, i uważamy że prawdopodobnie równie dużo skorzystalibyśmy z waszych nauk fizycznych, co wy, z naszych umiejętności biologicznych. Najpierw jednak, zanim podejmiemy ryzyko ujawnienia się Ziemi, musi zostać rozwiązana kwestia kompatybilności. Tak więc obmyśliliśmy test, pozwalający nam na określenie dalszego kierunku działania na przyszłość.

Unieśliśmy brwi i popatrzyliśmy po sobie nawzajem ze zdziwieniem, nie domyślając się wtedy jeszcze, co Balakianie naprawdę mieli na myśli.

– Od tysięcy pokoleń, poświęciliśmy całą energię poznaniu siebie oraz naszego środowiska naturalnego – mówił dalej Gaffa, – ponieważ zdajemy sobie sprawę z tego, że żaden gatunek nie może być w pełni zrównoważony, dopóki sam siebie nie zrozumie. Symbioza wszystkich organizmów żywych na naszej planecie jest wynikiem tej wiedzy. Zanim zaoferujemy nasze usługi Dominium Terrańskiemu, chcielibyśmy się upewnić, że wy również jesteście w stanie zrozumieć własny gatunek –– i stąd wynika ten test, który dla was przygotowaliśmy.

Kapitan Corelli sztywno wyprostował się.

– Wydaje mi się – oświadczył, – że nasza trójka będzie potrafiła rozwiązać waszą małą zagadkę, jeżeli w końcu raczycie nam powiedzieć, na czym ona polega.

Gaffa posłał zaintrygowane spojrzenie Znachorowi, i widać było, że zastanawia się dlaczego Corelli nie włączył go do swojej przechwałki. Ale Gaffa nie wiedział, jak prostym człowiekiem potrafił być Znachor, ani jak bardzo zaabsorbowany był swoją własną fizjologią.

– Jeden z tych dwóch osobników – powiedział Gaffa, wskazując na Haslopów, – jest oryginalnym Irą Haslopem, który znalazł się tutaj dwadzieścia dwa terrańskie lata temu. Drugi jest naszą syntetyczną kreacją –– androidem, jeżeli wolicie panowie to określenie. Jest identyczny, co do najdrobniejszej komórki, ze swoim oryginałem, przynajmniej w zakresie zewnętrznego podobieństwa. Nie mogliśmy powielić wnętrza bez szczegółowej sekcji oryginału, co oczywiście nie wchodziło w rachubę, tak więc byliśmy zmuszeni pójść tutaj na kompromis…

Gibbons przerwał mu z niedowierzaniem,

– Chciał pan powiedzieć, że stworzyliście żywe stworzenie, razem z mózgiem i wszystkim innym?

– Tylko ciało – wyjaśnił Gaffa. – Stworzenie istoty inteligentnej, ciągle jest poza naszym zasięgiem. Mózg powielonego Haslopa jest mózgiem

jednego z nas, przetransplantowanym i uwarunkowanym do poznania wiedzy, wspomnień i ideologii, jakie posiada Haslop.

Przerwał na chwilę, zaś krąg oczekujących Balakian, uśmiechnął się szeroko, w oczekiwaniu na kolejne słowa.

– Wasz problem polega więc na tym – podjął Gaffa. – Jeżeli znacie siebie samych na tyle dobrze, aby skorzystać z naszej pomocy, powinniście być w stanie łatwo odróżnić rzeczywistego Haslopa od fałszywego. Jeżeli wam się nie uda, nie będziemy mieli innego wyboru, jak zatrzymać was tutaj, na Balak, przez resztę waszego życia, ponieważ wypuszczenie was, sprowadziłoby do nas innych Terran, w przeważającej sile.

I o to właśnie chodziło. Wszystko co mieliśmy zrobić, to wziąć te identyczne bliźniaki –– wyglądające tak samo, myślące tak samo i przeklinające tak samo –– i zdecydować, który z nich był prawdziwy, a który fałszywką.

– Z bardzo istotnego powodu, który być może odkryjecie, a może nie – dodał jeszcze Gaffa, – test musi zostać ograniczony do paru godzin. Panowie, macie czas do jutrzejszego wschodu słońca.

I z tymi słowami, odkuśtykał tym charakterystycznym podskakującym krokiem, zabierając ze sobą swoje uśmiechnięte od ucha do ucha kohorty. Dwaj Haslopowie zostali z nami, groźnie spoglądając i pomrukując na siebie.

Początkowo sytuacja nie wyglądała jakoś specjalnie źle.

– Nie ma takich dwóch rzeczy na świecie – oznajmił kapitan Corelli, – które byłyby dokładnie i doskonale identyczne. Twierdziłbym, że ta zasada stosuje się specjalnie, do tożsamości ludzi.

To zabrzmiało pokrzepiająco. Nie znałem się zbyt dobrze na logice, jako bardzo przeciętny nawigator S.E., którego sprzęt zbudowany został tak, aby wszystko robić dla niego praktycznie automatycznie, a Corelli zdawał się wiedzieć o czym mówi.

Gibbons, jako naukowiec, widział jednak sytuację nieco odmiennie.

– To nie jest nawet dobra sofistyka – stwierdził. – Kapitanie, pojęcie tożsamości w odniesieniu do dwóch obiektów, w ogóle nie ma żadnego znaczenia, jeżeli wcześniej nie dokonamy identyfikacji zarówno pierwszego z nich, jak i drugiego. Sam Arystoteles nie byłby w stanie rozróżnić jabłka od orzecha kokosowego, gdyby wcześniej ich nie widział, ani o nich nie słyszał.

– Każdy głupiec to wie – chrząknął jeden z Haslopów. A drugi dorzucił w tym samym tonie: – Hej, chłopcy, jeżeli macie zamiar podchodzić do tego w taki sposób, zostaniemy tutaj na zawsze!

– W porządku – powiedział nieco przygaszony Corelli, – spróbujmy z innej strony.

Myślał przez minutę, czy dwie.

– A co z przeskanowaniem ich pod kątem szczegółów z ich życia? Prawdziwy Haslop był eksploratorem, co oznacza, że zanim rozbił się tutaj,

musiał mieć za sobą tysiące lądowań na różnych planetach. Fałszywka nie może pamiętać szczegółów tych wszystkich planet równie dobrze jak oryginał, niezależnie od tego ile razy mu je powtarzano, co?

– To nie zadziała – z niesmakiem oświadczył jeden z Haslopów. – Do diabła, po dwudziestu dwóch latach, ja sam nie pamiętam już tych miejsc, a przecież to *ja* tam byłem!

Drugi z Haslopów posłał mu ciężkie spojrzenie.

– Byłeś *tutaj*, stary –– to *ja tam* byłem.

Zaś do kapitana powiedział:

– W ten sposób nigdzie nie dojdziemy, przyjacielu. Nie doceniacie tych Balakian –– oni wyglądają i zachowują się jak dziwadła, ale naprawdę są bystrzy. W trakcie tych dwudziestu dwóch lat, jakie przeżyłem tutaj z tą kiepską kopią mnie samego, on nauczył się wszystkiego, co wiem.

– Ma rację – wtrącił się Gibbons. Zamrugał kilka razy powiekami i zrobił się różowy. – Chyba, że przypadkiem, prawdziwy Haslop miał żonę. Ja sam jestem co prawda kawalerem, ale wydaje mi się, że żonaty mężczyzna nie dyskutuje o pewnych wspomnieniach, nawet jeżeli staje się rozbitkiem.

Kapitan Corelli wpatrywał się w niego z podziwem.

– Chyba cię nie doceniałem, Gibbons – zwołał. – Masz rację! Jak mogłem…

– To bezużyteczne – ponuro stwierdził Haslop. – Nigdy się nie ożeniłem. I nigdy się nie ożenię, jeżeli będę musiał polegać na was, głąby, w sprawie wyciągnięcia mnie z tego bagna.

Zaraz potem zaszło słońce i opadł usypiający zmrok. W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że będziemy musieli kończyć nasze badania w ciemnościach, ale tubylcy mieli na to środek zaradczy. Skądś pojawił się rój świetlików, o rozmiarach wróbli, i zaczął krążyć wokół placu, czyniąc go równie jasnym, jak za dnia. Balakiańskie domy, na granicy kręgu, zmieniły się rozmazany rząd cieni spłaszczonych kopców. Przed nimi, na ziemi, usiadł po turecku pierścień tubylców –– niezła sztuczka, biorąc pod uwagę, że mieli oni trzy nogi do skrzyżowania –– uśmiechających się do nas od ucha do ucha.

Czekali na tę imprezę przez dwadzieścia dwa lata, i teraz, kiedy się w końcu rozpoczęła, cieszyli się każdą jej minutą.

Nasze dociekania, szły dosyć opornie. Świetliki w górze, krążyły bez przerwy i to przez cały czas w jedną stronę, co za każdym razem, kiedy człowiek uniósł wzrok, wywoływało uczucie zawrotu głowy. W dodatku Znachor pamiętał, że jest więźniem w obcym środowisku, oraz że znalazł się na łasce obcych chorób, które mogły przebić się przez jego trwałą immunizację. Nieustannie mamrotał i burczał do siebie pod nosem o ryzyku, a jego gadanie działało nam na nerwy jeszcze gorzej niż zwykle.

Podszedłem do niego, żeby go uciszyć, i aż zamrugałem oczyma, kiedy zauważyłem, że wpycha coś do ust. W pierwszej chwili pomyślałem, że

jakoś udało mu się przemycić ze statku trochę koncentratów żywnościowych, i myśl ta uwiadomiła mi, jak bardzo byłem głodny.

– Co ty tam masz, Znachor? – zacząłem go wypytywać. – No dalej, pokaż –– co tam chowasz?

– Trochę antybiotyków, i takich tam rzeczy – odpowiedział i wyciągnął z kieszeni małe, płaskie, plastikowe pudełeczko.

To była jego przenośna apteczka, którą nosił wszędzie ze sobą, tak jak przesądni ludzie noszą przy sobie króliczą łapkę, i która w dużej mierze odpowiedzialna była za to, że przezywaliśmy go Znachor. Była ona wypełniona patentowymi kapsułkami różnych remediów, które znalazł w swojej książki medycznej –– zraniony palec, zaskakujący ból głowy, wzdęcie gazów w żołądku, nigdy nie zdołają złapać Znachora nieprzygotowanego!

– Świrus – stwierdziłem i poszedłem z powrotem do Gibbonsa i Corellego, dyskutujących nad nowym podejściem do naszego problemu.

– Warto tego spróbować – powiedział Gibbons. Zwrócił się do dwóch Haslopów, którzy jeżyli się na siebie, jak para dziwacznych psów. – To pytanie jest naprawdę ważne, Haslop. Czy kiedyś przechodziłeś przez test Rorschacha, percepcji tematycznej, albo swobodnych skojarzeń?

Prawdziwy Haslop nie przechodził. To znaczy, obaj.

– A więc, spróbujemy swobodnych skojarzeń – oznajmił Gibbons i wyjaśnił, czego od nich chciał.

– *Woda* – rzucił Gibbons, szybko i ostrym tonem.

– Kurek – odpowiedzieli razem obaj Haslopowie. Dokładnie tak samo odpowiedziałby każdy żyjący w kosmosie człowiek, ponieważ jedyną wodą istotną dla niego, była woda ze zbiornika statku. „Jezioro”, „rzeka”, czy „źródło”, były dla niego tylko słowami z książek.

Gibbons przygryzł wargę, i spróbował ponownie, ale za każdym razem skutek był taki sam. Kiedy rzucił słowo „wypłata”, obaj odpowiedzieli „hulanka”. A kiedy powiedział „mężczyzna”, w odpowiedzi obydwaj zawołali „kobieta!”, z tym samym blaskiem w oczach.

– Od razu mogłem powiedzieć, że to się nie uda – oświadczył jeden z Haslopów, kiedy Gibbons wyrzucił ręce do góry w geście poddania. – Żyłem tak długo z tym sztuczniakiem, że on wie nawet, co będę chciał za chwilę powiedzieć.

– Miałem właśnie wyjaśnić to samo – warknął drugi z nich. – Po dwudziestu dwóch latach picia i dyskusji z nim, zaczęliśmy w końcu –– Boże, mi dopomóż! –– tak samo myśleć.

Spróbowałem również dołożyć własnej ręki, tylko raz.

– Gaffa powiedział, że oni są dokładnie jednakowi, przynajmniej co do wyglądu zewnętrznego – przypomniałem. – Ale może się mylił, albo okłamywał nas. Lepiej chyba będzie, jeśli sami to sprawdzimy.

Oczywiście, Haslopowie podnieśli wrzask, ale nic im to nie pomogło. Gibbons, Corelli i ja, rzuciliśmy się na nich jednocześnie –– Znachor odmówił pomocy, z powodu obawy przez skażeniem –– i dokładnie ich

przebadaliśmy. To była wyczerpująca robota, ponieważ obaj zaklinali się, że mają łaskotki, a w innych okolicznościach, mogłoby to być bardzo ambarasujące.

Badanie pozwoliło jednak ustalić pewną sprawę. Gaffa nie kłamał. Byli zupełnie identyczni, przynajmniej w takim zakresie, w jakim mogliśmy to sprawdzić.

Poddaliśmy się i mieliśmy właśnie trochę odpocząć od naszej pracy, kiedy przyszedł Gaffa, uśmiechając się do nas z ciemności. Przyniósł wielki kryształowy dzban, czegoś, co spokojnie mogłoby ujść za pierwszorzędny Poncz Planetarny, tyle że miało w sobie bliżej dwóch trzecich alkoholu, niż mieszanki pół-na-pół, jaką można zazwyczaj otrzymać, w większości międzyplanetarnych wyszynków.

Obaj Haslopowie łyknęli sobie, przyjmując to jako coś oczywistego, widać było, że byli przyzwyczajeni do tego trunku, a reszta z nas nie dała długo na siebie czekać. Tylko Znachor odmówił, zieleniejąc na samą myśl, o tych wszystkich obcych bakteriach, które mogły pływać w dzbanie.

Kilka drinków, spowodowało, że od razu poczuliśmy się lepiej.

– Tak sobie myślałem – zawahał się kapitan Corelli, – o tym, że kiedy Gaffa mówił nam o ograniczonym czasie trwania testu, powiedział również, że możemy lub nie, odkryć tego przyczynę. Pomyślcie, co ten uśmiechający się poganin, chciał przez to powiedzieć? Czy rzeczywiście jest jakiś powód, czy chciał nas tylko odciągnąć, od podążania tropem fałszywego Haslopa?

Gibbons wyglądał na bardzo zamyślonego. Rozsiadłem się wygodniej, kiedy on się zadumał i obserwowałem Znachora, przełykającego kolejną kapsułkę z antybiotykiem.

– Chwileczkę! – zawołał Gibbons. – Kapitanie, naprawdę na coś wpadłeś!

Wpatrzył się w Haslopów. Odpowiedzieli niewzruszonym spojrzeniem.

– Gaffa powiedział nam, że jesteście dokładnie identyczni od zewnątrz – kontynuował Gibbons, – co zresztą sprawdziliśmy. Czy on chciał przez to powiedzieć, że wewnątrz nie jesteście tacy sami?

– No, pewnie – odparł jeden z nich. – Ale co z tego? Możecie być cholernie pewni, że nie mamy zamiaru pozwolić wam nas pokrajać, żeby to sprawdzić!

– Zaciemniasz problem – warknął Gibbons. – Zmierzam do tego, że –– jeżeli nie jesteście jednakowo zbudowani w środku, to nie możecie egzystować na bazie tego samego rodzaju diety. Jeden z was zjada pożywienie podobne do tego, co i my. Drugi, nie może. Ale który jest który?

Jeden z Haslopów wskazał drżącym palcem na drugiego.

– To on! – oznajmił. – Przez całe dwadzieścia dwa lata, obserwowałem go, jak wypija swoją kolację –– to on jest podróbką!

– Kłamca! – wrzasnął ten drugi, zrywając się z ziemi. Corelli wszedł między nich, i drugi Haslop zrezygnował, mrucząc pod nosem: – To faktycznie prawda, tylko że to on wypija swoje posiłki. Ta gorzała w dzbanie, jest pożywieniem, niezbędnym mu do życia –– alkohol, dostarczający energii, z rozpuszczonymi w nim minerałami i innymi

rzeczami. Ja piję z nim tylko dla przyjemności, ale ta podróba nie może jeść niczego innego.

Corelli pstryknął palcami.

– A więc to dlatego ograniczyli nam czas i przynieśli ten dzban –– żeby ich fałszywemu Haslopowi nie zabrakło paliwa! Aby rozróżnić ich obu wystarczy więc, że damy im do zjedzenia coś stałego. Ten, który to zje, jest prawdziwym Haslopem.

– Pewnie, potrzeba nam tylko trochę stałego pokarmu – zauważyłem. – Czy któryś z was, czasami nie ma przy sobie paru kanapek?

Wszyscy zamilkli ponuro na parę kolejnych minut, a ciszę przerwał dopiero Znachor, zaskakując nas wszystkich samą decyzją aby się odezwać.

– Ponieważ utknąłem tutaj do końca życia – oznajmił, – kilka zarazków mniej lub więcej, nie ma już żadnego znaczenia. Czy mógłbym prosić o podanie mi tego dzbana?

Pociągnął solidny łuk ognistego trunku, zapomniawszy nawet o otarciu brzegu dzbana.

Po tym fakcie, poddaliśmy się, a kto by tego nie zrobił? Kapitan Corelli stwierdził, że do diabła z tym wszystkim i sam pociągnął taki haust z dzbana, że obaj Haslopowie zaczęli wrzeszczeć jakby ich obdzierano ze skóry i szybko sami złapali za niego. Potem już tylko siedzieliśmy w kręgu, piliśmy, rozmawialiśmy i czekaliśmy na wschód słońca, który miał skazać nas na pobyt na Balak, przez resztę życia.

Rozmyślanie o postawionym nam problemie, przypomniało mi starą zagadkę, którą gdzieś słyszałem, o trzech mężczyznach, którzy zostali rozmieszczeni w pomieszczeniu w taki sposób, by każdy z nich mógł widzieć pozostałych dwu, ale nie siebie samego. Pokazano im trzy białe kapelusze i dwa czarne, a następnie zawiązano oczy i każdemu z nich nałożono na głowę kapelusz. Kiedy zdjęto im opaski z oczu, trzeci z mężczyzn wiedział zawsze jakiego koloru ma kapelusz, widząc pozostałych dwu oraz na podstawie tego, co powiedzieli oni. Zawsze jednak zapominałem, skąd on to wiedział.

Problem kapeluszy zaabsorbował nas tak bardzo, że niebo na wschodzie zrobiło się zupełnie różowe, zanim to sobie uświadomiliśmy.

Jednak nikt z nas, tak właściwie, nie zobaczył jak wschodzi słońce, poza Znachorem i fałszywym Haslopem.

Byłem właśnie w środku zdania, kiedy, zupełnie nagle, mój żołądek zwinął się w trąbkę i zawarczał jak zraniony tygrys. Jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyłem tak koszmarnego uczucia. Wpatrywałem się w innych, zastanawiając się, czy to nie ten towar w dzbanie zatruł nas wszystkich, i zobaczyłem, że Gibbons i Corelli spoglądają na siebie, z podobnym do mojego, zaskoczonym wyrazem oczu. Trafiło to również jednego z Haslopów –– na jego twarzy pojawiła się taka sama, niewyraźna mina wokół ust, a pot spływał mu po czole kroplami wielkości grochu.

A potem nasza cała czwórka zerwała się na nogi i ruszyła sprintem w poszukiwaniu zacisznego miejsca, pozostawiając Znachora i drugiego Haslopa, spoglądających za nami. Zdawało mi się, że Haslop, który został, wyglądał jakby mocno był tym zaintrygowany, ale Znachor tylko udawał zainteresowanie, natomiast był niesamowicie rozbawiony.

Jednak, nie byłem tego za bardzo pewien. Nie było czasu na drugie spojrzenie.

Kiedy później wróciliśmy na plac, wstrząśnięci i bladzi, przez cały czas z trudem powstrzymując się od kolejnego sprintu, zobaczyliśmy jak Gaffa i jego wyszczerzeni kumple, składają gratulacje Znachorowi. Fałszywy Haslop, porzucił swoją rolę i zdawał się być bardzo szczęśliwy.

– Przez te dwadzieścia dwa lata, naprawdę polubiłem Haslopa – wyjaśnił. – Tak więc stałem się nieco stronniczy, sprzyjając jego gatunkowi. Jestem naprawdę zachwycony, że przyłączymy się do waszego Dominium. Wiem, że Balak i Terra, będą znakomicie razem współpracowały, ponieważ wy, ludzie, jesteście tacy pomysłowi i tak doceniacie sprawy związane z humorem.

Zignorowaliśmy Balakian i wsiedliśmy z zawziętością na Znachora.

– Co wrzuciłeś do dzbana, po tym, kiedy z niego łyknąłeś, ty zakało ludzkości – wywarczałem. – Co to było?

Znachor cofnął się, z czujnym błyskiem w oku.

– Przepis z części curiosa, mojej książki medycznej – odparł. – Przygotowałem sobie parę kapsułek do mojego zestawu podręcznego, tak na wszelki wypadek, i po prostu wpadło mi to do głowy, kiedy…

– Daj sobie spokój z tymi wstępami – przerwał mu kapitan Corelli. – Gadaj, co to było?

– Formuła wymyślona przez pradawnych barmanów, na Ziemi, i zdecydowanie nie polecana, poza najcięższymi przypadkami – wyjaśnił Znachor. – O bardzo dziwacznej nazwie. Nazywa się, mianowicie, podwójny Mickey[1].

Pewnie byśmy go tam zamordowali na miejscu, gdyby tylko mikstura Znachora nam na to pozwoliła.

Później jednak, musieliśmy przyznać, że Znachor właściwie, to wyrządził nam sporą przysługę, ponieważ dzięki wykryciu prawdziwego Haslopa, uratował nas przed ugrzęźnięciem do końca życia na Balak. Zaś Balakianie stali się natychmiast tak ogromną sensacją w Dominium Terrańskim, że udział Znachora w ich przyjęciu, w ciągu jednej nocy, zrobił z niego gwiazdę. Ktoś, wysoko w kręgach rządowych, wyciągnął go z pracy terenowej dla Solar Exploitation, załatwiając mu synekurę w laboratorium badającym antybiotyki, do którego pomknął bez zwłoki, szczęśliwy jak świniak na polu kartofli.

[1] Mickey (albo Mickey Finn), oznacza slangowo dawkę środka usypiającego lub przeczyszczającego, dodawaną do drinka. Nazwa pochodzi najprawdopodobniej od imienia i nazwiska barmana w Chicago, który raczył niczego nie podejrzewających gości tego rodzaju miksturą ze środkiem usypiającym, aby ich następnie rabować. (przyp. tłumacza)

Co udowadnia stwierdzenie, poczynione przeze mnie na początku, że jedyną rzeczą, o którą nie trzeba się martwić podczas pracy dla Solar Exploitation, jest nadmiar nudy.

Czy rozumiecie państwo teraz, co chciałem przez to powiedzieć?

KONIEC